

Młyny niebios

(c) 2012 by Emma Popik

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez autora. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody autorki. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem zawartym na stronie autora.

www: <http://www.emmapopik.pl> email: popik@koti.pl

Dwaj strażnicy miejscy stali nad nią pochyleni. Siedziała na betonie, skulona, oparta plecami murek. Skóra i kości, owinięte w szmaty. Buty na bosych chudych nogach, chusta omotana wokół głowy, mała twarz starowinki. Kobieta spała, a jej głowa opadała rytmicznie na chudą i wąską klatkę piersiową, ukrytą w wacianej kurtce. Strażnicy ją zaskoczyli, gdyż była pogrążona w głębokim śnie.

A ona śniła swój piękny sen. Widziała, że unosi się w powietrzu. Była pewna, że wystarczy mocno się spać i polecą płaskim lotem ślizgowym ponad ulicą. Śniła o tym bardzo często, a sen był wtedy wyjątkowo głęboki. Zresztą właściwie miała wątpliwości, czy to był w ogóle sen, gdyż wszystko wyglądało zbyt realistycznie i dokładnie. Wydarzenia przebiegały na zasadzie przyczyny i skutku, każde odbywało się ze szczegółami, a co więcej – i to był ostateczny dowód - widziała tylko ulicę przed sobą, a we śnie oglądasz siebie ze wszystkich stron jednocześnie, jesteś w sobie i poza sobą.

Czasami oczywiście musiała się przespać, a senność dopadała ją nagle w najmniej odpowiednich miejscach.

- Bierzymy ją? – zapytał młodszy, postawny i narwany.
- Nie mamy podstaw do zatrzymania obywatela - uspokoił go starszy.
- Włóczęstwo, roznoszenie chorób - młodszy strażnik rwał się do akcji.
- Popatrz tylko, jest czysta, wcale od niej nie śmierdzi. To stara kobieta, może się zgubiła, może ją dzieci wyгнаły.
- Pewnie sobie pochłala – upierał się młodszy przy swojej wizji rzeczywistości i zanim starszy zdążył go zatrzymać, pochylił się niżej i wyciągnawszy rękę, szarpnął śpiącą za ramię.

Nie otwierając oczu, stara kobieta wyciągnęła w górę ramiona, przeciągając się z zadowoleniem. Otworzyła oczy i dopiero wtedy ich spostrzegła.

- No co, babciu, popiliśmy sobie – rzekł młodszy strażnik.
- Nie jestem twoją babcią i nie pijam z byle kim. Czego chcesz?
- Identyfikator!

Kobieta nie reagowała, siedziała, opuściwszy głowę i zaplótłszy ramiona.

- Nie słyszy? – zwrócił się do niej bezosobowo, jakby była nikim, bo przecież była.
- Daj spokój – uspokajał go starszy. – Nie stwarza żadnego zagrożenia.
- Nie lubię włóczęgów i nie będę tolerował nieposłuszeństwa. - Mówiąc to młodszy odwrócił głowę od siedzącej kobiety i spoglądał na swego kolegę, gdyż to jego chciał przekonać o swojej racji.

Kiedy obydwaj ponownie spojrzeli na miejsce, gdzie siedziała, nikogo tam już nie było.

- Co jest? - wściekał się młodszy. – Kiedy zwiłała? - rozglądał się, ale nie było małej sylwetki w perspektywie ulicy.

- Dziwne – rzekł starszy. – Tu nie ma żadnego skrótu w bok, musiała pójść ulicą. Jest dość widno, palą się latarnie. Przecież nie chodzi szybko, to starsza osoba.

Młodszy już zgłaszał do radiowozu. Starszy nie zdążył go zatrzymać, w końcu sprawa nie była poważna ani też warta takiej interwencji. Radiowóz się odezwał. Był na patrolu niedaleko, ale nie zauważył nikogo: ulice były zupełnie puste. Ten meldunek jeszcze bardziej rozzłościł młodszego strażnika, który czuł się wydrwiony, i to przez kogo, przez jakąś staruchę, śpiącą obok śmietnika. Młodzi nie dawali mu rady, a tymczasem taka stara i chuda baba zwała mu spod ręki.

Podjechał radiowóz i młodszy strażnik podszedł skwapliwie do okienka kierowcy i złożył meldunek. Kolega ze zmotoryzowanego patrolu wysłuchał go w skupieniu, choć patrzył przed siebie i opierał się nonszalancko łokciem na otwartym oknie. Przyrzekł, że będzie szukał starej. Drugi strażnik stał nieopodal, nie interesował się pościgiem, gdyż według niego sprawa była niewarta aż takich środków, toteż nie wtrącał się do rozmowy. Wciąż nie umiał sobie zracjonalizować sposobu zniknięcia kobiety i to go zajmowało.

Właśnie kończył służbę, podniósł rękę do daszka, co oznaczało pożegnanie i nie przeszkadzając kolegom w rozmowie, poszedł w kierunku dworca podmiejskiego, by złapać pociąg na peryferia. Było bardzo blisko.

Już z daleka świeciła olbrzymia litera oznaczająca szybkie jedzenie. A ponieważ miał trochę czasu do odjazdu pociągu, toteż postanowił wstąpić na chwilę i wypić coś gorącego. Przyglądał się tablicy z nazwami potraw i wcale nie zauważył, że do kontuaru podchodzi stara kobieta, okutana w chustkę. Była o kilka osób przed nim. Kiedy podeszła do obsługującej dziewczyny, ta nałożyła jej porcję frytek i postawiła na tacy porcję keczupu, a stara kobieta wzięła jedzenie, odwróciła się i nie płacąc, podeszła do stolika i usiadła na krzeselku. Zajęła się dekorowaniem swojej porcji frytek przyprawami. Delikatnie i elegancko odrywała folię z małych porcji i w skupieniu wylewała je na ziemniaki.

Nagle coś sobie przypomniała, zapragnęła czegoś, więc wstała i podeszła do lady. Właśnie dziewczyna w fartuszkach postawiła na tacę młodego mężczyzny porcję sernika i galaretkę. Staruszka wzięła obie rzeczy, ale ani mężczyzna, ani też dziewczyna za kontuarem nie zareagowali. Na tacy klienta została umieszczona kolejna, taka sama porcja.

Stara kobieta usiadła przy swoim stoliku i już miała się zabrać do jedzenia, lecz znowu się rozejrzała, miała ochotę na coś jeszcze. Dwa stoliki dalej siedział robotnik, który położył przed sobą świeżo kupioną gazetę. Właśnie wyciągał rękę, by po nią sięgnąć i ją rozłożyć do czytania, lecz stara kobieta była szybsza, wyciągnęła mu ją wprost spod dłoni i usiadłszy przy stoliku, rozłożyła ją z zadowoleniem i zagłębiając się w lekturze, podjadała sernik.

„Dlaczego nikt nie zwracał na nią uwagi?” – zastanawiał się strażnik.

Nie wiedział, co ma zrobić. Jeżeli powie obsłudze, że stara kobieta wzięła porcję, nie płacąc, wówczas na pewno każą jej uiścić należność, a być może i on będzie musiał wystąpić w niewdzięcznej roli stróża prawa. Być świadkiem w tak groszowej sprawie nie wydało mu się godne.

Wyjaśnienie może być całkiem inne. Być może zjedanie tu posiłku jest jej codziennym obyczajem i obsługa jej na to pozwala, prawdopodobnie otrzymując zapłatę z kasy miejskiej. Pozostawała jeszcze do wyjaśnienia sprawa pożyczania sobie gazety. I tu również istniało racjonalne wytłumaczenie: po prostu robotnik mógł być znajomym tej kobiety i pozwalać jej na takie drobne żarciki czy poufałość.

Mimo prostych i racjonalnych wyjaśnień sytuacja wyglądała nienormalnie. Było tu jak zwykle dużo lamp i ostre światło skłaniające do szybkiej konsumpcji. Nie można było przeoczyć kobiety i jej czynności. Co więcej, siedziała przy stoliku sama. Strażnik się rozejrzył i stwierdził, że nie było ani jednego pustego stolika, przy każdym krzesła zajmowały co najmniej dwie osoby. Spojrzył na młodzieńca przy swoim stoliku, ale ten, spuściwszy oczy, zajmował się jedzeniem, jakby oddzielony od tej rzeczywistości, zagłębiony w odmiennej.

Stara kobieta delectowała się swoim posiłkiem i z zainteresowaniem czytała gazetę, a kiedy skończyła, złożyła ją w taki sam sposób jak poprzednio i położyła obok talerza jedzącego robotnika. Jego dłoń jeszcze zawisała ponad tym miejscem, gdzie przedtem leżała gazeta, w tej właśnie chwili ręka po nią sięgnęła, palce ją rozłożyły i właściciel zaczął ją czytać.

Co się stało? Wycięty kawałek czasu? Tak można by od biedy wytłumaczyć sprawę z gazetą, ale to przecież nie jest żadne wyjaśnienie. A podbieranie porcji spod ręki, jak uzasadnić? Dwie osoby nie widziały, nie pamiętały swoich ruchów, nie postrzegaly sekwencyjności zdarzeń?

Tymczasem stara kobieta skończyła się posilać i wstała od stolika. Poszła w kierunku wyjścia i zniknęła za drzwiami. Strażnik odprowadzał ją wzrokiem. Kiedy jej sylwetka rozplynęła się w ciemności, wstał i podszedł do dziewczyny za ladą. Nie, oczywiście nie widziała żadnej starej kobiety w chustce i nie podawała jej frytek ani przypraw. Strażnik pomyślał, że właściwie nie znalazł wyjaśnienia. Dziewczyna mogła kłamać, pomagała starej kobiecie, litując się nad nią, a teraz nie chciała, by któraś z jej koleżanek czy właściciel lokalu dowiedzieli się, że rozdaje za darmo porcje. Mężczyzny, któremu podebrała sernik, już nie było, robotnik również wyszedł.

Strażnik pomyślał, że zachowywał się głupio, pytając i szukając wyjaśnień oraz widząc coś dziwnego tam, gdzie wszystko odbywało się normalnie, toteż opuścił bar, starając się nie myśleć o całej sprawie. Ale coś go jednak niepokoiło, gdy szedł na peron. Istniała tu jednak tajemnica. Postanowił nikomu o tym nie wspominać, nie powie o tym w domu i na pewno nie pochwali się swoim przeżyciem koledze z patrolu. Ale następnego dnia również weźmie nocny patrol i po skończonej służbie pójdzie do baru.

Przekazy, jak zawsze, nachodziły na jej umysł według ich własnego rytmu, czyli wtedy, kiedy miały zajść ważne wydarzenia na świecie. Tuż przed wielkimi wstrząsami, kiedy ludziom się wydawało, że czas zapada się w sobie i mają jedynie terażniejszość, z której nikt nie wyjdzie żywy. Wiedziała o czekającym ją wielkim zadaniu, ale trudno przecież jej było dostosować się do gigantycznego nadajnika i ściągać pliki swoim własnym umysłem. Nie chodziło o jego możliwości, bo były znaczne, przecież została do tego wyznaczona, ale o ciało i jego parametry, a także wymagania otaczającej ją fizyczności.

Miała doskonały umysł i pełniła na tej ziemi rolę strażnika losu. Pobierała więc wiadomości od swoich mocodawców, a potem musiała znaleźć odpowiedniego wykonawcę swojej woli i reguł przeznaczenia. Umysł działał bez zastrzeżeń i mogła wykonywać swoje zadanie jeszcze wiele lat, jednakże ciało, jakim dysponowała, miało swoje ograniczenia, zużywało się zbyt szybko, jak na jej potrzeby.

Żyła w konkretnym społeczeństwie. Istniały w nim obyczaje. Musiała brać je pod uwagę. Nie obawiała się oczywiście kompromitacji, ale przeszkód. Nie mogła nagle się zatrzymać na środku ulicy i podnieść głowę do nieba, i tak trwać, ściągając informacje. Tym razem miała szczęście, nie zamkną jej do szpitala, nie posła do przytułku ani też nie zostanie uwięziona w zakładzie dla psychicznie chorych. Ale tak to mniej więcej wyglądało, kiedy nadchodziła pora przekazu, stała jak porażona. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że sama wybrała taki plan swojego pobytu na tej Ziemi, i wreszcie będzie mogła powrócić. To przyniosło jej pocieszenie.

Widziała rozległą piaszczystą równinę, grube kryształki, brązowe i rdzawe, jakich nigdy nie fałduje wiatr, zresztą wiatry nie wiały w tej upalnej krainie. Duże schody opasujące budowlę, nazwaną później piramidą. Właściwie stało tu wiele piramid opasanych schodami. Dopiero teraz zobaczyła kolejne fragmenty kompleksu świątynnego na pustyni, bo właśnie je pokazano. Obraz się obrócił i zobaczyła w oddali miasto zbudowane z białego kamienia, bramy i bramy, budowle o płaskich dachach, a na nich tarasy. Nie mogła zobaczyć tylu szczegółów z tej odległości, zresztą zabudowania świątyń zasłaniały domy tworzące miasto, ale ona już dawno przestała się dziwić obrazom, które się pokazywały i odwracały na różne strony, by mogła je zobaczyć dokładnie i zapamiętać szczegóły.

Nagle poczuła, że bołą ją nogi. Pochyliła głowę i zobaczyła, że grube kryształy piasku pustyni dostały się do jej luźnych butów bez sznurowadeł. Wysunęła stopy i obejrzała je, kryształy odcisnęły czerwone ślady na skórze, pogłębione poprzez uszkodzenie termiczne. Piasek nagrzał się od słońca, które stało na wysokim, wręcz białym niebie od oślepiającego blasku słońca.

- Iluminacja – zamruczała stara kobieta. – Olśnienie. Trzeba jednak uważać, by słońce nie oślepiło, nie wyżarło tęczęwek, nie wypilo koloru. Komu zagraża? Temu, kto w nie patrzy, jeśli nie ma zabezpieczenia. – Rozejrzała się wokoło albo też obraz się obrócił. Słońce było tak jasne, że

zamazywało kolory i deformowało kształty, prostokąty domów zamieniało na budowle o wklęsłych ścianach, bramy traciły prześwity, gdyż stała w nich zapora z falującego żarem powietrza.

– Rozumiem – mruzczała do siebie stara kobieta. – Należy zwrócić uwagę na formę rzeczywistości, jaka jest, i odróżnić ją od tej, jaka się jawi. Teraz trzeba się tylko dowiedzieć komu? Kto patrzy, czyje oczy?

Otarła stopy z piasku i wsunęła je z powrotem w buty. Wrażenia fizyczne – już dawno przestała się im dziwić, gdyż zawsze towarzyszyły obrazom: tak musiało być, aby nie pomylić przekazu z wizjami czy też ze snami.

Właśnie w oddali pokazał się orszak, na czele którego kroczył postawny mężczyzna, pięknie zbudowany i ubrany w złote tkaniny. Kroczył pewnie, mając nogi obute w złote, obcisłe buty do kolan. Na pewno nie dostał się pod cholewki piasek i nie poranił drogocennych stóp władcy. Właśnie zaczął wstępować na piramidę, kroczył dostojnie i powoli po stopniach, ciągnących się w górę.

- Wiem już, wiem – mruzczała stara kobieta. – Od jak dawna się tym zajmuję? Miejcie, proszę, wzgląd na mój wiek, a jest tu gorąco, chce mi się pić. Wcielanie się jest trudnym obowiązkiem, mimo wszystko podjęłam się go i wypełniam uczciwie.

W tej chwili właśnie spoza piramidy wysunął się człowieczek, ściskający nóż. Stawiał ostrożnie i cicho swe podstępne nogi. Jego oczy wpatrywały się w kroczącego króla. Jeszcze chwila i skoczy, by zatopić nóż w złotej tkaninie na piersi.

- Nie mogę na to pozwolić! – warknęła stara kobieta. – Na pewno do tego nie dopuszczę.

Król kroczył dumnie i wpatrywał się w czubek piramidy, który był ścięty, a tam, na najwyższym tarasie ma stanąć i popatrzeć w słońce. Pewnie zdejmie złotą tkaninę z piersi i obwiąże nią głowę, by blask nie wypalił mu oczu.

- Dostyc już, jest naprawdę gorąco i wszystko zrozumiałam. Na pewno przekażę. Jak tylko niebo się obróci.

A ona sama odwróciła się, by nie patrzeć na to, co się stanie, i zaczęła odchodzić od zabudowań świątyni, od sceny zamachu i od miasta. Wiedziała już, co robić. Mimo że stała plecami, nadal oglądała wszystko tak, jak się rozgrywało. Zamachowiec podbiegł i wbił nóż w pierś króla, który chwycił się za serce i przycisnął je palcami, by krew nie wypływała zbyt szybko. Mimo bólu szedł do góry krok za krokiem. Nie zdjął złotej tkaniny, by jej użyć jako bandaża i może w ten sposób uratować swoje życie. Coś innego miało dla niego większą wartość. Musiał dojść i doznać olśnienia.

Stara kobieta doceniała siłę ciała, moc nóg w złotych butach i potęgę woli, która pchała go do celu. Na trzy stopnie przed tarasem upadł i oparł się na łokciu wolnej ręki. Odpoczywał chwilę, a potem zaczął wspinać się na kolanach. Te trzy stopnie były ceną. Jednak doszedł. Upadł na twarz. Po chwili uniósł jednak głowę, i opierając się na łokciach, mając przedramiona położone na ceglanej

podłodze tarasu, przez co przypominał zwierzę, może lwa, ostatnim wysiłkiem spojrzął w słońce, ale już świat wirował i zobaczył tylko ciemność. Tak został, zakrzepł, zamieniając się w statwę odlaną z szklanego kamienia, w jaki się zamienił.

Strażnik wszedł do swego mieszkania. Było cicho i ciemno, tylko z drugiego pokoju dobiegał lekki szmer oddechu, co w sprawiało wrażenie, że przestrzeń oddycha. Przez okno wpadało światło księżyca. Spojrzął, właśnie tarcza zbliżała się do pełni, która nastąpi za trzy dni. Niezwykłe wydarzenia tego wieczoru skłoniły go do rozmyślań, zresztą coś go pociągało do okna. Pierwotna siła, działająca na wszystkich od początku świata, Księżyc, patrzący na ziemski glob i ludzkie sprawy zawsze tak samo, obojętnie i z dystansu. Było coś w nim tajemniczego i upiornego, ta twarz, te oczy, to spojrzenie mimo ekspedycji i narysowanych map łańcuchów górskich i pradawnych kraterów, w które kiedyś uderzały szalone komety, wbijając w jego głębę swój ślepy obłęd.

Stał twarzą do Księżycy, odwrócony plecami do swego domu, słysząc, jak oddychają puste pokoje. Stawały się przez to żywe i straszne, a on był obcym bytem, oddzielnym od wszystkiego. I tak stojąc twarzą w twarz z zimnym globem, poczuł smutek i samotność, wrażenie obcości, bo nie można się zaprzyjaźnić z chłodną bryłą ani też poczuć więzi z pustką.

Przeniósł wzrok na dalsze regiony nieba, jakby szukając w nim czegoś ludzkiego, na czym mógłby zawiesić swoją duszę. Jasne punkty jarzyły się na granatowym niebie i nagle zobaczył, jak jest ich dużo. Uświadomił sobie, że człowiek nigdy tego nie pojmie, a jego myśl zagubi się w wielkich pokojach, w których nawet nikt nie oddycha ani też nie wzbudza się echo.

Oglądał gwiazdozbiory, których nigdy przedtem nie widział. Nie przeczuwał nawet, że istnieją. Umiał nazwać tylko te popularne, znane ze szkoły, o kształcie łatwym do odgadnięcia. Zobaczył w tym wszystkim jednak pewną zasadę: był to ruch, który na pewno istniał, lecz z powodu odległości nie mógł zostać zauważony. Były to obroty, wielki młyn, który się kręcił, mieląc czas, a spod jego kamieni wysypywały się ziarna sekund. Było ich tak wiele, że tworzyły wieczność, wielką gęstwinę drobin. Jeżeli jednak pewne gwiazdozbiory posuną się kawałek dalej, czego on oczywiście nie zobaczy, inne ruchem obrotowym będą się kręcić w stronę przeciwną, wtedy może się przydarzyć coś dziwnego z sypiącym się czasem.

Pomyślał sobie, że tylko tyle potrafi pojąć swym prostym rozumem. Młyny niebios jednak się obracają i mielą czas i pewnie przestrzeń, i być może jest komuś dane, że potrafi się poruszać w szczelinie, która się zdarza poza czasem. Dlaczego nie mogą istnieć takie byty czy osoby? Czy z tego powodu, że moje oczy ich nie obserwują, a mój umysł nie znajduje uzasadnienia w teorii?

Wydało mu się teraz, że minęło już dużo czasu. Nie widzi gwiazdozbiorów, które były przedtem. Młyny niebios się obróciły i zasunęła się brama czasu, która przez chwilę była otwarta i widoczna. Została zamknięta nieskończona

przestrzeń, która teraz jest ograniczona jego spostrzeganiem. Ale przecież dosłownie przed chwilą mógłby w nią wejść, przynajmniej myślał i zdołałby wsączyć w nią swoją świadomość, gdyby to oczywiście potrafił. Być może jednak jest ktoś, kto istnieje poza czasem i swobodnie się porusza w rozsuniętych drzwiach przestrzeni.

Czuła, że będzie to bardzo trudne zadanie. Istniały bowiem poważne przeszkody. Wokół globu leżała warstwa myślokształtów, czekających na realizację. Warstwa wyglądała jak iskrzący się pas odłamków meteorytów, okruszki metalu, pył, zbity, skompaktowany i nieprzenikliwy. Ludzie wymyślali różne rzeczy, ich wyobrażenia ulegały zapisaniu na cząstkach materii myślowej. Był to zapis głęboki, trwałe i praktycznie niezniszczalny. Każde zmartwienie, każdy zamiar wbicia noża w czyjeś plecy, czy plan afery złodziejskiej zostawał zapisany. Nie ważne było, czy poniechano wykonania zamiaru: pozostawał. Odstąpienie od popełnienia zbrodni nie wymazywało jej zapisu.

Inni ludzie korzystali z nich. Nagle przychodziły im do głowy jakieś myśli. Ich umysł zaczynał niby to samoistnie produkować zamiary, w rzeczywistości uzyskiwał umiejętność dotarcia do tej nisko wiszącej sfery i odczytania zapisu.

Ostatnio sfera uległa znacznemu powiększeniu, a tak bywało zawsze, gdy ludzkość musiała dokonać zwrotu w swoim postępowaniu, oczywiście, o ile udało się ją uratować. Cywilizacja ginęła nagle: wybuchały bomby, przewracały się pociągi, samoloty ślepy i zderzały się w przejrzystym powietrzu. Dzieci umierały zaraz po urodzeniu, gdyż nie chciały żyć.

Ta sfera bardzo jej przeszkadzała, wisząc nisko ponad Ziemią. Musiała się przez nią przebić, a to powodowało większe wydatkowanie energii. Widywała obrazy zbrodni, wiedziała, że nie może im zapobiec i to przynosiło jej cierpienie.

Patrol polował nocą na ulicach miasta. W samochodzie siedział kierowca i młody strażnik. Samochód sunął cicho po śliskich jezdniach, prześlizgując się koło dyskotek i barów, nocnych klubów i pubów. Omijał teatry, sale koncertowe i drogie restauracje. Przystawał w zaułkach i obok starych kamienic, skręcał, wjeżdżając w ciemne podwórka i bramy. O tej porze nocy nie było tam nikogo, nawet bandyci musieli przespać parę godzin przed świtem. Światło gwiazd odbijało się w szybach okien, które je powielają i zagęszczają, a samochód przebiegał się przez nie jak przez litą materię.

Kierowca się nie interesował motywami strażnika. Nie pytał, dlaczego z taką zawziętością śledzi jakąś starą, nieszkodliwą kobietę, która nie popełniła żadnego wykroczenia. Ten jednakże sam zaczął mówić na ten temat. Nienawidził wszystkiego, co stare i brzydkie, pokraczne, kalekie czy kulawe. Gardził nędzaczami, których uważał za winnych swojej własnej biedy, oskarżając ich o brak woli, przedsiębiorczości i wytrwałości. Według niego byli leniwi lub psychicznie pęknięci, a więc chorzy, ale nie zasługiwali na żadną pomoc lekarską czy opiekę społeczną.

- Tacy się nie nauczą – mówił cicho i z pasją. - Szkoda dla nich szkół. Nigdy się nie wyleczą. Nie warto tracić na nich pieniędzy, naszych pieniędzy, odrywanych z naszych podatków. Gdybyśmy nie musieli utrzymywać tej armii nędzarzy, nasze pensje byłyby o wiele wyższe. Każdy z nich to złodziej – unosił się, mimo że mówił coraz ciszej - i już z tego powodu, że żyje, jeszcze żyje, zasługuje tylko na to, żeby go spałować i zamknąć.

Kierowca nie słuchał. Miał niepełnosprawne dziecko i starą babcię, którzy byli dla niego wszystkim. Gdyby nie oni, byłby sam na świecie i nikt nie okazywałby mu miłości, a te dwie kaleki i uszkodzone istoty miały jej tak wiele, że przestrzeń wokół niego pulsowała ciepłem. Wiedział również, że świat jest pełen szaleńców, a jeśli chodzi o tego tu obok, jego kompleks, będący powodem takich poglądów, ujawni się bardzo szybko.

- Przyhamuj koło sklepu – rozkazał młody strażnik.

Wysiadł i wrócił po chwili z kartonem energetyzujących napojów. Nim ruszyli, wypił dwie puszki, lecz wciąż się czuł nie dość silny, by stawić wyzwanie swemu strachowi przed światem.

- Zawieź mnie do nocnej siłowni – polecił.

Musiał zwiększyć swe mięśnie, gdyż czuł się słaby, walcząc z tymi, którzy na pewno nie mogli mu się przeciwstawić. Wiedział, że na pewno odniesie zwycięstwo i jego kompleks niższości na chwilę przestanie się domagać zaspokojenia.

Starszy strażnik wiedział, że sen odszedł, gdyż jego umysł nie potrafił się wyciszyć. Włączył więc telewizor, a choć przyciszył głos, usłyszał coś tak ciekawego, że się przysunął i przybliżył ucho. Był to program o zjawiskach paranormalnych. W studio o przyćmionym, fioletowym świetle, na tle oparów kadzidełek etnograf kultury mówiła o czarownicach.

„Są one traktowane stereotypowo. Utały się pewne pojęcia, powtarzane przy każdej okazji, a więc utrwalone w świadomości społecznej. Zazwyczaj podaje się te informacje w kontekście skłaniającym w sposób oczywisty do śmiechu. Podawanie humorystycznego tła do takiej wypowiedzi nie jest w każdym przypadku zamysłem, ale utrwalonym wzorem myślenia. Jeśli mówimy czarownica, to przytaczamy zazwyczaj jej praktyki, uznawane za najgorszy zabobon i przykład ciemnoty. Wiemy wszyscy, że jeden z przepisów czarownic, czyli głupich bab z brudnej wsi, zalecał – weź skórę ropuchy i gotuj w saganku przez dni trzy, aż się odwar wyklaruje. Dopiero nowoczesna medycyna stwierdziła, że skóra ropuszki zawiera truciznę, która podawana w odpowiednich dawkach jest skutecznym lekarstwem na wiele schorzeń. Przepisy medyczne czarownic nie są wynikiem intuicji, ale wiedzy, opartej na eksperymentowaniu i obserwacji, zdobywanej przez tysiąclecia, następnie zanegowanej ze względu na brak logicznych związków pomiędzy jej poszczególnymi elementami.

Dowodem jest inny choćby przepis, rzekomo bezsensowny: zrywaj ziele o pełni księżyca. Kiedy ludzie nie dostrzegali wpływu księżyca na podnoszenie się poziomu wód na ziemi, to zalecenie jawiło się im jako pozbawione związku, a co za tym idzie - uzasadnienia”.

W tym momencie włączył się redaktor prowadzący program, zadając pytanie o kulturowe znaczenie postaci starych kobiet. Czy jest to jakiś symbol? – zapytał. „Ostatnie wieki, odznaczają się kultem młodości i tężyzny. Kiedy rozważamy zagadnienie na poziomie fizyczności oraz cechujące się bezwzględnością rozumowania, jeśli poruszamy się w sferze myślenia, a tak jest od czasów Oświecenia - spowodowały poważną pogardę i niechęć do symboliki starej kobiety. Jeszcze na początku średniowiecza była ona uważana za osobę posiadającą mądrość, dotyczącą szczególnie wyjawiania przeznaczenia człowieka. Stara kobieta była zawsze uważana za symbol losu, szczególnie tego nieodwołalnego, który musi się wypełnić. Przypomnijmy, że trzy parki w mitologii rzymskiej, czyli Kloto, Lachezis i Atropos były przedstawiane jako stare kobiety. Pierwsza przędła nić żywota, druga ją odmierzała, trzecia odcinała. Były więc symbolem nieuchronności, a jednocześnie dowodem bezsilności i poddaństwa człowieka, co zawsze wzbudza negatywne uczucia. Jeżeli dodamy do tego strach przed śmiercią, powody nienawiści stają się jawne”.

- Czym więc jest symbol starej kobiety w naszej kulturze? – Redaktor prowadzący domagał się uściślenia i postawienia kropki nad i.
- To strażnik losu, wyjawiający tajemnicę twego życia - zakończyła antropolog.

Strażnik już nie słuchał więcej i nie dowiedział się, kim są ci, którzy znają los. Odchylił głowę na oparcie kanapy i pogrążył się w myślach. Czuł się w jakiś sposób wplątany w trudną i starą sprawę. Był pewien, że nic nie działo się przypadkiem ani też nadaremnie. Zrozumiał, że już jego los został mu w pewien sposób wypowiedziany, choć nie całkowicie: zobaczył tylko sygnał, jeden dźwięk dłuższego pasażu, słowo wypowiedziane w ciemności. Jego zadaniem jest odgadnąć całe zdanie i odnaleźć melodię piosenki. Jeszcze tak wiele nie wiedział, mimo to poczuł się pokrzepiony i mądrzejszy. Coś ważnego zezwolono mu zobaczyć. Zrozumiał, że istnieje tło, a są nim wieki i wydarzenia, które upłynęły, a on jest w nie wsnuty jak w tkaninę gęstego i grubego dywanu. On jako człowiek nie istnieje tylko tu i teraz ani też po to, by zarabiać pieniądze i wydawać je w taniej jadłodajni, ale sens musi sam sobie nadać.

Noc była właśnie najgłębsza, sama wpadała we własną ciemność i zanurzała się w sobie. O tej godzinie wzdychali chorzy na samotnych łóżkach szpitalnych, otwierały się rany i krew przesączała się przez bandaże. Walkirie wychodziły z ciemności i szły równym krokiem, by stanąć w drzwiach, a potem ująć chorego za rękę i przeprowadzić do na drugą stronę, strzegąc, by się nie oglądał. Była to właśnie ta godzina nocy.

Stara kobieta stała przed wielkim oknem. Jarzyło się w nim światło i lśniły drogie kamienie. Leżały na aksamitnych poduszkach. Czerwone położono na białym atłasie, perły matowo połyskiwały na czarnej tkaninie. Jednak ona patrzyła tylko na brylanty. Nie było tego dużo, zaledwie w oczkach pierścionków.

- Na pewno mają większe w kasie pancерnej na zapleczu – mruzczała do siebie. – Potrzebne są największe i najtwardsze, trzeba je ułożyć w formie medalionu. Mówiłam, że nie dopuszczę, mówiłam, znamy się przecież od początku.

Stała dość długo, dobrze widoczna w świetle padającym z okna wystawowego, oblana światłem, i wcale się kryła. Przyglądała się i czekała na brylanty, bo po prostu były jej potrzebne i musiała je otrzymać. Wiedziała, że się to wydarzy, bo taka jest reguła.

Strażnik właśnie wyszedł z nocnej siłowni i stanął przed drzwiami, by poprawić mundur. Po ćwiczeniach wziął prysznic i zmył z siebie pot wysiłku. Nie był zmęczony, wprost przeciwnie: dopiero teraz rozgrzane mięśnie oddawały mu swoje ciepło i energię. Był pewien, że teraz może wiele zdziałać, a co tam, może wszystko. Ruszył przed siebie. Był teraz księciem nocy, władcą ciemności, on ustalał reguły i on egzekwował prawo. Czekał na wyzwanie. Jakże pragnął natknąć się na jakiegoś drania: spadłby na niego jak drapieżny ptak. Niech no tylko spotka kogoś, kto choć trochę nadkrusza przepis, może to być nawet kierowca, który korzystając z późnych godzin nocy, przejeżdża skrzyżowanie na czerwonym świetle, pewny, że nikt nie widzi. On mu pokaże, kto widzi, on go pouczy, że przepis działa zawsze, i od tego czasu kierowca będzie zatrzymywał na skrzyżowaniu polnych dróg o drugiej nad ranem. Niech no tylko kogoś spotka.

Nagle zobaczył tę starą babę, która mu umknęła. Dzielila go od niej niewielka odległość prostego chodnika, krótki odcinek do przejścia, od zakrętu, który właśnie minął do tego okna wystawowego. Złapie ją za ten chudy kark i ma podstawy do oskarżenia. Co taka nędzarka może robić przed oknem wystawowym największego jublera w mieście? To oczywiste, planuje kradzież. Że nie wiadomo, jak tego dokona? Proste, wystarczy rzucić kamieniem. Szyby są odporne na silniejsze uderzenia, ale nie o to chodzi, lecz o zamiar, który za chwilę zostanie udaremiony.

Nie spieszył się, kroczył rytmicznie i spokojnie, tylko kciuki zatknął za pas. Czuł pod paskiem za plecami dotyk wiszących kajdanek. Jeden ruch i zaciśnie je na przegubach tych chudych rąk. Stara stoi jak oszołomiona, pewnie nigdy nie widziała takiego bogactwa, tych olbrzymich i lśniących brylantów. Chyba sobie nie wyobraża, że pierścienie ozdobią jej stare palce. Zaraz wykręci jej ręce do tyłu i ramiona podciągnie do góry, między sterczące łopatki. Brzydził się starością. Nie spuszczał wzroku ze stojącej przed wystawą kobiety.

Nagle w pustej ulicy pojawił się czarny samochód prowadzony przez kierowcę. Strażnik znał takie samochody. Należały do bogatych ludzi, którym służył. Takim ludziom należało się kłaniać i schodzić z drogi. Na każde pytanie odpowiadać „Tak proszę pana” albo „Jak pan sobie życzy”. To przecież ich majątku pilnował. To dlatego ganiał po ulicach dilerów i złodziei, pod pozorem że broni społeczeństwa, ale przecież miał ochraniać tych, którzy stworzyli siły specjalne i straż.

Musi się pospieszyć, aby usunąć tę starą z drogi. Jak widać, właściciel zapragnął przyjechać w nocy do swego największego sklepu. Dziwne to trochę, prawda, ale przecież nie on będzie oceniał postępowanie takiej osoby.

Nagle spłynęło na niego olśnienie. Czyż miał kiedykolwiek możliwość, by taką osobę oglądać z bliska, by choćby znaleźć się na tym samym placu? Nie, zaiste nigdy! A teraz, o drugiej w nocy na zupełnie pustej ulicy spotykają się oni dwaj i to w takiej sytuacji: kiedy strażnik aresztuje złodziejkę, która chciała okraść jego sklep. O, szczęście, o, przychylny losie, który czuwasz na tym, który na to zasługuje! Na pewno jubiler nigdy się nie spodziewał, że coś takiego może się wydarzyć. Zobaczy, jak czujna jest straż, no przecież nie cała, ale jeden wybrany strażnik: najlepszy i najpilniejszy w służbie ze wszystkich, który, nie bacząc na późną noc, strzeże bezcennego mienia. Taki człowiek potrafi docenić solidność: jeden telefon do prezydenta miasta i awans, patent na oficera i odznaczenie!

Strażnik ma przed sobą jeszcze kilka kroków, a samochód już podjeżdża od strony przeciwnej pod okno wystawowe. Strażnik musi się pospieszyć, aby kradzież nie dokonała się na oczach właściciela, a co więcej, pod bokiem strażnika, który jest wolniejszy niż jakaś stara baba. Jeden skok i już chwyta starą za rękę. No, prawie. Bo nagle dzieje się coś niesamowitego: limuzyna hamuje i kierowca otwiera drzwi, a z nich wychodzi sam właściciel w ciemnym garniturze, dwa kroki i już jest przy kobiecie. Strażnik ją pochwycił, nie jeszcze nie. Jak to się stało, jak to jest możliwe, przecież wyciągnął ramię i już zacisnął palce na jej rękę. Nie, wcale jej nie dotknął, chociaż się nie odsunęła.

I tak jakoś zamarli w ruchu, on wyciągając jedną rękę do przodu, by schwytać starą, a drugą zakładając za plecy, by odpiąć kajdanki. Stara twarzą do wystawy i obok niej sam właściciel.

- Pani pozwoli – mówi właściciel. – Proszę zająć miejsce w samochodzie, by się odsunąć od tego nachała, który panią niepokoi.

A teraz właściciel zwraca się do strażnika. – Jeden telefon do zwierzchnika i otrzymujesz człowieku zwolnienie ze służby z naganą. Jaki jest twój numer? – patrzy na blachę na piersi strażnika i powtarza głośno numer, aby go dobrze zapamiętać. – W straży nie ma miejsca dla sadystów - dodaje właściciel limuzyny, sklepu i pan jego losu.

„Jestem skończony, załatwiony i skompromitowany! I to przez tę babę, wysuszoną staruchę! Zamorduję ją! Skręcę ten kark, wystarczy wziąć ją w dwa palce i obrócić jak kurczaka” – myśli strażnik.

I wtedy właśnie odczuł uderzenie, jakby go piorun strzelił, i zważyło go z nóg. Kierowca limuzyny, uderzył go drzwiczkami i dokończył dzieła silnym ciosem. Płyty chodnika okazały się bardzo twarde, gdy uderzył w nie potylicą. Ogarnęła go ciemność.

Kiedy starszy strażnik się obudził, świeciło słońce, ale padał na niego jeszcze inny blask. Był to telewizor, który pracowicie nadawał swój program, co było bardzo dziwne, przecież telewizory wyłączają się same - zgodnie z kodem w sieci, reagują na obecność człowieka. Ten jednak nie został wyłączony, jak to działo się co wieczór, kiedy rodzina przestawała oglądać program, co więcej, włączył się samoistnie, mimo że nikt nie patrzył na ekran.

Było to bardzo dziwne, ale w strażniku zachodziła przemiana. Jakoś nie szukał od razu wyjaśnień rozumowych. Nie próbował sobie tłumaczyć, że musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie, które jest zupełnie oczywiste, a tylko on go nie zna. Powoli, po każdym dziwnym wydarzeniu, wkręcał się coraz głębiej w tryby paranormalnego, czego nie można wytłumaczyć zależnościami fizycznej przyczyny i natychmiastowego skutku. W jego umyśle zaczynał się rozkruszać łańcuch logicznego schematycznego myślenia.

Jeszcze jedno wydarzenie było dziwne. Spał na kanapie w dużym pokoju. Nie poszedł do sypialni i wcale nie pamięta momentu przygotowywania się do zaśnięcia, który zawsze był poprzedzony różnymi czynnościami, jak obowiązkowy prysznic i układanie munduru. Nie zasnął, póki broń nie była zabezpieczona, to był nawyk wyniesiony ze szkoły policyjnej. Cieszyła go precyzja układania munduru w kształtną kostkę. Powtarzał sobie zawsze, że wyuczone nawyki są podstawą bezpieczeństwa jego własnego i obywateli. Jego mundur leżał obok złożony w kostkę, a broń była zabezpieczona, ale nie pamiętał tych czynności. Były rytuałem, nawykiem, ale zawsze wykonywał je świadomie, ostrożnie obchodził się z bronią.

Nie był poprzedniego wieczoru przecież tak zmęczony, by jego świadomość się wyłączyła podczas tych czynności i teraz nie mógł ich sobie przypomnieć. Nie chciał również szukać racjonalnych wyjaśnień. Był to kolejny krok na drodze do akceptacji dziwnych zjawisk.

Właśnie rozpoczęto nadawanie reportażu z Ratusza. Przed jego miedzianymi wrotami stała grupa ważnych urzędników miejskich, a wśród nich najbogatszy jubiler w mieście. Prezentował przed kamerami niezwykle zamyślony, trzymając w ręku niewielką szkatułkę z tajemniczą zawartością, która musiała być niezwykle cenna, zważywszy na obecność dwóch strażników po jego bokach i kilku panów w ciemnych okularach, którzy rozglądali się jednocześnie we wszystkie strony i czasami dyskretnie poprawiali mikrofon w ucho. Jubiler trzymał szkatułkę tuż przed sobą na szkarłatnej, aksamitnej poduszce ze złotymi chwaścikami na czterech rogach.

Jednakże jubiler chciał najpierw opowiedzieć o okolicznościach, w jakich powziął ten nadzwyczajny projekt. Uratował życie pewnej starszej damie przed

zbyt krewkim i obowiązkowym człowiekiem, który nazywał siebie stróżem prawa. Nazywał siebie, gdyż był to czas przeszły, jako że przestał być strażnikiem bezprawia. Poruszony tym niezwykłym wydarzeniem, jubiler postanowił ufundować medal dla człowieka, który najbardziej się przyczynił do ochrony życia ludzkiego. Medal został wykonany z najtwardszego metalu na świecie, będącym symbolem niezłomności, i z brylantów. Kiedy jubiler podniósł wieczko szkatułki, zbliżyli się reporterzy z kamerami, a na ekranie pokazało się zbliżenie zaszczytnego medalu.

Jednak strażnik nie patrzył na jubilerskie cacko, lecz jego wzrok powędrował w głąb obrazu. Za jubilerem z notablami i dużą grupą ważnych osób był ostatni stopień schodów, prowadzących do miedzianych wrót Ratusza. Były nieco uchylone na ciemną przestrzeń wielkiego holu. Przez chwilę stała tam stara kobieta, zawinięta w swoją chustę. Wyglądała bardzo niestosownie na tle eleganckiej grupy ważnych osób, jednak lekceważyła zarówno ich współczesną i chwilową wielkość, drogie garnitury, jak i dysonans, który wprowadzała. Stała, na wpół zanurzona w ciemność; właściwie kojarzyła się raczej z plamą na tynku lub z portretem, wiszącym na ścianie holu przeciwległej do wejścia.

Mimo tej ulotności i niepewności obrazu, strażnik był pewien, że stała tak przez chwilę, bo popatrzyć na niego i aby ich wzrok mógł się zawęzić, bo w taki sposób chciała mu dać do zrozumienia, że ta scena jest przeznaczona tylko dla niego, zanim nie wtopi się w ciemne tło, przechodząc w inne rejestry istnienia, zupełnie poza czasem.

Zdał sobie w tej chwili sprawę, że nadal przebywa w swoim pokoju i ogląda telewizję i cofnął się z tamtej rzeczywistości, wchodząc w jakąś inną znowu realność, bo wcale nie był pewien, że o tak wczesnej porze dnia nadawano reportaż z Ratusza i ci wszyscy wielcy i ważni wstali tak wcześnie rano.

Kiedy się odświeżył i przebrał, przygotowując się do wyjścia do pracy, usiadł jeszcze na chwilę przy stole, bym wypić mrożoną herbatę, było mu jakoś ciepło. Pod szklanym stolikiem na półce leżało czasopismo historyczne, który czytywała jego żona. Akurat było otworzone na stronicę z dużą fotografią przedstawiającą piramidę schodkową z krainy Majów.

Rzucił okiem na tekst, pijąc chłodny napój i przeczytał o rytuale, który musiał zostać wykonany przez króla. Rytuał zawsze się odbywał przed najważniejszym wydarzeniem, zmieniającym bieg wydarzeń. „Skąd starożytni władcy otrzymywali wiadomość o mającej nastąpić tragedii? - zapytywał autor. – Skąd przybywała do nich wiedza o przyszłych tragediach?”

Zawiesiwszy treść pytaniem, podawał fakty. Przeróżające wydarzenia następowały cyklicznie, jednak w nierównych odstępach czasu. Te odcinki trudno było wyliczyć, nawet przy pomocy skomplikowanych równań matematycznych, a jak wiadomo, tak zaawansowane wyliczenia nie były wtedy możliwe. Poznanie ich musiało być innego typu. Może intuicyjne?

Pewna legenda, choć z innego kręgu kulturowego, a mianowicie z Chin, wyjaśnia, że najstarsza kobieta rodu uzyskiwała wgląd w przyszłość,

oczywiście, o ile dożywała sędziwego wieku. Podania mówią, że otrzymywała wiadomość z Dziesiątego Nieba (Han).

„Kto zamieszkiwał Dziesiąte Niebo? – autor artykułu zaciekał czytelników pytaniami retorycznymi. - Byli tam Panowie Wieczności albo też Ci, Którzy Ustalają Kolejność. Z pewnością chodzi o kolejność wydarzeń, które mają zająć w świecie, czy też w danym kręgu kulturowym”. Dziennikarz, zrobił wywiad z jednym z członków bardzo starego rodu, który utrzymywał, że w jego rodzinie była taka stara, wiedząca kobieta. Ten mężczyzna pamiętał jej ceremonialny pogrzeb. Ten mężczyzna, członek rodu zezwolił zejść do grobowca, by zobaczyć trumnę swej prababki.

Dziennikarz zszedł do grobowca. Jego kroki odbijały się echem na kamiennych stopniach. Był sam. Mężczyzna, członek rodu, pozostał na górze w świetle dnia. W trumnie ciała jednak nie było, mimo że pieczęcie pozostawały nienaruszone od stu lat. Wydarzenie to wywołało szok i przerażenie w całej rodzinie. Nikt nie zna wytłumaczenia tego dziwnego faktu. Inni członkowie tego rodu pokazywali zapiski, jakie uczynili za życia wiedzącej kobiety, by dowieść jej istnienia. Jednakże pergaminy były tak zniszczone, że chińskie znaki można było interpretować w różny sposób.

Bystry dziennikarz wykonał woltę i powrócił do starożytnych Majów. „Kiedy słońce stało wysoko na niebie – przywoływał słowa ze Świętych Kodeksów – i zrobiło się upalne i mordercze, Pan Świata musiał wejść na najwyższą piramidę i spojrzeć w słońce. Ono oświeciło jego umysł, który rozblęsnął jak ognista kula Boga Nieba”.

Król doznawał nagłego olśnienia – pomyślał strażnik, kończąc puszkę z mrożoną herbatą. – Była to iluminacja. Ale w naszych czasach już to chyba nie istnieje.

Wciąż myśląc o boskiej chwili nagłego zrozumienia, żałował przez chwilę, że skończyła się epoka cudów, ale zaraz porzucił tę myśl, gniotąc puszkę i wyrzucając ją do wiadra. Mimo wszystko rzucił ostatnie spojrzenie na króla wstępującego na schody piramidy, omotanego w złote tkaniny. Był piękny i mężczyzna chciałby być taki sam, choćby przez chwilę iluminacji.

„Jestem zmęczona – mówiła do siebie. – Tyle złych rzeczy ma się wydarzyć. Nikt nie zdoła im zapobiec. Ich pojawienie się jest wynikiem reguły, a ona – przedstawicielka – pochodzi od prawodawców”. Martwi ją tylko interpretacja tych zjawisk przez ludzi. Wydarzenia nie są karą za grzechy, ludziom nie wolno pochylać głów, nie powinni myśleć, że spadają jak nieunikniony deszcz. Ludzie produkują je sami. Zapisy ich zamiarów są jak lustra, w których się przeglądają niebios. „Muszą zająć głębokie przemiany – mruzczała - ale jak opanować myśli ludzi? Są okresy łatwiejsze, gdy sfera nie jest taka gęsta i przepuszcza światło”. Czasem jednak ulega zbyt silnemu sprasowaniu i można ją rozbić tylko w jeden sposób - spowodować, aby nie przyrastała od spodu, by wciąż nie doklejały się do niej nowe drobiny. I właśnie taki czas nadchodzi. Będzie strasznie.

Młody strażnik stał przed swoim dowódcą, słuchając oskarżeń. „To jakaś farsa - pomyślał po raz kolejny od poprzedniej nocy. – To nie dzieje się naprawdę”. Nie słuchano jego wyjaśnień, nie dając mu w ogóle dojść do głosu. Opisywano fakt napaści na niewinną obywatelkę i na jubilera, który przybył tak wcześnie do swego zakładu, aby pobrać z kasy pancерnej drogocenne brylanty, wezwać swoich pracowników i zlecić im przygotowanie medalu, który stanie się ikoną tego miasta, podobnie jak Order Podwiązki. „To jakaś bzdura – myślał strażnik-satyra na sprawiedliwość. Porządny strażnik broni miasta od lumpów i mętów i jest za to stawiany do raportu”.

Nie mógł się pogodzić z sytuacją, kiedy zdzierano mu dystynkcje, degradując do stopnia szeregowca. Odpięto kaburę ze służbową bronią, zabrano legitymację i wetknąwszy do ręki jakiś papier, wskazano mu wyjście, do którego doprowadził go strażnik. Ten, popchnąwszy, zatrzasnął drzwi za jego plecami. Dopiero tutaj spojrzął na trzymany w ręku dokument i nie mógł zrozumieć słów, chociaż czytał litery: „Zwolniony dyscyplinarnie ze służby bez możliwości odwołania”.

Służba była całym jego życiem. Pochłonęła wszystkie jego marzenia i całą młodość, którą poświęcił na naukę w szkole policyjnej i na różne kursy sprawnościowe. Najlepiej strzelał na całym posterunku i był niepokonany w sztukach walki: sprawny jak tygrys, silny jak bawół. „Przekroczenie uprawnień, brak ludzkich odruchów”- czytał w dokumencie, przekonany, że to nie dotyczy jego i on jutro się obudzi, śmiejąc się ze swego dziwnego snu. Poszedł więc jak zwykle na siłownię, by sobie udowodnić, że nadal jest stróżem prawa i najsprawniejszym chłopakiem na posterunku.

W rozkroku, z głową podniesioną stał w drzwiach siłowni ten czarnuch. Strażnik gardził nim z powodu skóry i nienawidził go, bo ten zawsze sprawdzał jego identyfikator i zezwolenie na wejście na siłownię. Robił to umyślnie, oczywiście, jako formę samoobrony przed jawnym okazywaniem niechęci rasowej. Zawsze stał w rozkroku w drzwiach, mając obojętny i wyniosły wyraz twarzy i patrzył ponad głową wchodzącego. Tak stał i gapił się tym wyniosłym wzrokiem, póki strażnik nie wysupłał zezwolenia i identyfikatora i nie podetkał mu pod ten jego małpi pysk, a ten – czarny łajdak - nawet nie spoglądał, tylko odchyłał kciuk zezwalając mu przemknąć się obok niego w przejściu.

Więc teraz stał ten czarny.

- Przepuść mnie! – warknął strażnik. Był rozwścieczony i zdesperowany, więc działał głupio, posługując się przemocą, jeszcze przez chwilę chciał pomieszkać w swej dawnej skórze i przekonać samego siebie chyba, że jest kimś znaczącym.

Czarny w ogóle nie zareagował, tylko stojąc z szeroko rozstawionymi nogami, patrzył ponad głową. Było z niego kawał mięśniaka. Biały podkoszulek odrzynał się kolorem i formą na czarnych zwałach ramion. Strażnik nie wie, jak to się stało: chyba to on zaatakował pierwszy, z desperacji i strasznego upokorzenia, bo teraz był nikim, podwójnie nikim i nawet taki zwykły wykidajło może go swobodnie wygnać z siłowni, gdzie zawsze był najsilniejszy.

A teraz jeden cios tamtego, który pewnie na to czekał przez te wszystkie lata i dostał swą chwilę satysfakcji. Zrobiło się ciemno.

Ktoś wziął go za ręce i za kostki u nóg i przeniósł, co było jednak dowodem delikatności, bo nie ciągnął po ziemi, i położył za pojemnikiem na śmieci w zaułku, dokąd rzadko zajeżdżały samochody oczyszczalni. Kiedy odzyska przytomność, odczuje, że przynajmniej spał na miękkim.

Stara kobieta znowu zaczęła odbierać komunikaty. Na szczęście stała w cieniu domów, osłonięta od wzroku i wścibstwa, chociaż i tak nikt na nią nie zwracał uwagi, bo przecież wyglądała jak stara nędzarka, co było podwójnym, wygodnym kamuflażem. Takie przebranie wybrała sobie dawno temu, gdy zaczynała działalność na tej planecie, przestudiowawszy obyczaje. Była wysłannikiem średniej klasy.

- Obiecaliście, że po tym zadaniu, gdy będę mogła skończyć swój dyżur, będę mogła latać – zdążyła mruknąć i już była gdzie indziej. Widziała wiele ciał istot mieszkających na tej planecie, którą miała ratować. Ciała leżały wszędzie, na ziemi i nad brzegiem morza, płonęły uwięzione w budowlach, spadały z okien, nie mogły się wydostać z piwnic. - Dlaczego tak trzebiecie te rasę?! – wykrzyknęła pytanie. – To nie moja wina, nie potrafię więcej! Cóż, że zawsze znajdę odpowiedniego człowieka, który skrupulatnie wykona mój plan! Cóż, że się otrząsną i przez chwilę działają według uniwersalnej reguły. Taki okres jest krótki, po czym znów popadają w swą rutynę. I wtedy już moje siły są za małe. Nie zawrócimy biegu przeznaczenia w pojedynek. Jeden kilof nie rozbije warstwy. Nadchodzi już zły czas.

Zapytano ją wtedy, czy zgodzi się przedłużyć swój pobyt na tej planecie. Zacisnęła usta, nie chciała odpowiadać twierdząco. Było tu jej bardzo ciężko. Miała utrudnione działania. Proste akcje nie przynosiły rezultatów jak przed setkami lat czasu lokalnego. Świat stał się bardzo logiczny i cuda utraciły swą moc. Musiała poddać się regułom wcielenia i życia społecznego.

- Już czas - mruknęła do siebie. – Muszę dokonać przejścia fizycznego.

Była po prostu zbyt osamotniona i nie dawała rady. Nie mogła być wszędzie, wiele więc wątków wymykało się jej z rąk. Zaczynała się obawiać, że obecnie spełnia tylko rolę Lachezis, czyli odmierzającej los. Nie chciała nawet myśleć o tym, że będzie musiała się zamienić w tę, która odcina nić i opuszcza ludziom powieki. Nigdy się nie zgodzi, by brać pod ramiona i przeprowadzać na tamtą stronę. Do wypełnienia tego zadania będą musieli przysłać kogoś na nowy dyżur.

- Czy nie mam żadnego prawa głosu? – zapytała. Oglądała obrazy, jakie jej przesyłano, pokazywały najbliższą przyszłość. – Nie mówcie, że to jest najlepszy scenariusz – skierowała pytanie tam, skąd te decyzje spływały.

Pomyślała, że przecież ludzie zamieszkujący tę planetę, sami sobie ten wariant wydarzeń wymyślili i zapisali w wielu miejscach. Ciągłe je także odczytywali na nowo i nazywali swe księgi świętymi. Wierzyli, że stronicie zostały podyktowane przez bogów, choć stworzył je ich własny umysł. Potrzebowali jednak uzasadnień, by podporządkować sobie innych. Ich własne słowa zamieniały się w energię myśli. Zgodnie z prawem przemiany energii te zapisy myślowe były składowane czas jakiś w dość niewielkiej odległości od planety. Ten okres był najbardziej niebezpieczny, gdyż wielu na planecie dysponowało pewnego rodzaju energią odczytu. Daleko im było oczywiście do możliwości, które miała ona, co gorsza, ich umiejętności dostawały się do pewnych sfer umysłu, bardzo negatywnych regionów, tam gdzie produkowali zło.

Nagle przekaz został przerwany. – Dlaczego przyspieszyliście transfer! – krzyknęła. – Przecież realizacja nigdy nie była natychmiastowa. Nie mam środków działania.

Ale było już za późno. Miało się wydarzyć.

Kiedy starszy strażnik wyszedł z domu, podniósł głowę i spojrział w niebo, by zobaczyć, jaki zapowiada się dzień. Jego oczy zetknęły się z jasnym okiem słońca, które stało ponad domami i właśnie rozpoczynało swój ognisty rajd na miasto. Mimo że stało poza krawędziami dachów już było oślepiająco białe i wyjątkowo rozżarzone.

Odniosł nagle wrażenie, że pomiędzy nim a słońcem stoją wysokie schody wykute w białym kamieniu, ale są złote. Może pokrywa je złota blacha, a może odbija się blask gorącej kuli. Wstępuje po schodach jak wódz i kapłan i ma do wykonania bardzo ważne zadanie. Od jego rytualnych czynności zależy istnienie całego ludu, jego wielkiego plemienia, które się już zamieniło w naród. Iluminacja – to słowo samo wypłynęło na powierzchnię zrozumienia. Było to doświadczenie dziwne, przeczące jego logice myślenia. Jednakże nie szukał uzasadnienia jak pierwszego wieczoru, gdy obserwował starą kobietę w barze. Nie usiłował zracjonalizować świata, zaakceptował jego drugą, niewyjaśnialną, lecz istniejącą i oczywistą stronę.

Nagle uświadomił sobie, że nie wie, na czym polega ten rytuał, nie rozumie, jakie ma wykonać gesty, które są ustalone raz na zawsze i wykonywane zawsze w tej samej sekwencji, niezależnie od sytuacji. Wstąpił na kilka schodów, ale już było bardzo gorąco. „Dajesz życie - wyszeptał w stronę słońca – ale i mordujesz. Wypijasz jeziora, wysysasz wilgoć z liści i przez ciebie zwierzęta umierają nad suchymi źródłami”.

Było mu tak gorąco, że rozpiął guziki munduru. Wizja zaczynała zniknąć. Schody zamieniały się w blask po jednym i roztopiły się w upale. Zobaczył, że stoi przed swoim domem z uniesioną głową i zamkniętymi oczami. Rozejrzał się, wcale nie wstydził się dziwnego zachowania. Jezdnia lśniła od zaru.

A co to będzie później? – pomyślał. I nagle zobaczył inną wizję. Miasto nieprzygotowane na wielkie upały. Starzy ludzie przewracają się na ulicach i suchymi wargami błagają o szklankę wody, lecz nikt ich nie słyszy. Chłopcy na deskorolkach dostają udaru słonecznego, gdyż jeżdżąc, nie zwrócili uwagi na temperaturę, bo i tak jest im zawsze gorąco. Młode ciała upadają, rozbite głowy, przed oczami latają ciemne koła. Zapaść. Dzieci w przedszkolu spadają z huśtawek. Uczniowie mdleją w klasach, studenci w dusznych salach.

W szpitalach brakuje krwi i płynów, bo nikt nie jest przygotowany do nagłej sytuacji. Straż pożarna ma normalny dyżur, a przecież strażaków będzie trzeba dziesięć razy więcej. Karetki, służby miejskie, wywóz śmieci, polewanie ulic.

I nagle zobaczył w swoim umyśle coś przerażającego: ekipę hydraulików, którzy idą do głównej pompowni, by zakręcić wodę z powodu drobnej awarii. Teraz widzi, jak zakręcają wielkie koło i nagle ono się urywa. Zaczynają wyc syreny, wielka awaria, trzeba odciąć dopływ wody, wybuchają pożary, elektrownia przeciążona, wyłączają dopływ prądu, w szpitalach przestają działać urządzenia ratujące życie. W inkubatorach umierają dzieci, na szpitalnych stołach konają pacjenci.

„A jeśli to tylko ułuda? – pomyślał strażnik. – Jeżeli jestem w krytycznym stanie umysłu i zaczynam wariować? Jeżeli ma coś z mózgiem i słuchając się go, rozpocznie akcję przeciwdziałającą, ośmieszy się. Zostanie wyrzucony w pracy i bez wątpienia pozwany do sądu za spowodowanie strat. W takim wypadku jego życie jest skończone, nastąpi degradacja, kompromitacja, kara. Ale jeśli to wszystko się wydarzy i na drugiej szali leżą te tysiące istnień i cierpienie? Jedno życie wobec tylu istnień. „Każdy jest Chrystusem swego losu” – powiedziało mu się nagle i od razu przypomniał sobie, jakie ma wykonać rytuały. Znał je oczywiście bardzo dobrze, gdyż powtarzał codziennie, gdyż nazywano je procedurami.

Przechyliwszy głowę, włączył telefon interaktywny, intertel i wywołał najpierw brygadę zmiierzającą do pompowni. „Tu straż miejska” – powiedział, zdając sobie sprawę, że przekracza swoje uprawnienia. Najpierw powinien zawiadomić swego szefa, by ten powołał sztab antykryzysowy, ale nie było na to czasu. Następnie wykonał telefon do dyrektora wodociągów i kanalizacji miejskiej. Powiedział mu o głównym zaworze, który urwie się za najmniejszym dotknięciem, co grozi pozbawieniem wody całego miasta. Uczynił go osobiście odpowiedzialnym za tę awarię, podał swoje nazwisko i stopień służbowy i kazał się zameldować po usunięciu zagrożenia.

- Tu dyrektor – główny inżynier wodociągów i kanalizacji miejskiej usłyszał w telefonie. – Właśnie dzwonił do mnie jakiś szaleniec, podający się za strażnika miejskiego, z informacją o grożącej awarii głównego zaworu. Czy wiesz coś o tym?

- Jakby to panu powiedzieć? – zaczął niepewnie inżynier, drapiąc się w głowę. „Jeśli powie mu wprost, skompromituje go i może się narazić na

sankcje, utratę pracy czy mobbing. Jeśli nie powie, jakie podjął kroki, może być znacznie gorzej. Ten cholerny zawór rozwali się lada dzień”.

- Mów pan – zagrzmiał dyrektor, a każdy się bał tego tonu.
- To prawda.
- No i co pan zrobił, za co panu płacę! Taki wstyd, żeby mi jakiś strażnik miejski zwracał uwagę! To skandal, to niedopatrzanie obowiązków!

Inżynier nabrał powietrza w płuca. Bał się. Już widział siebie na bruku, a swoje dzieci w przytułku. Jeżeli nie powie prawdy, zostanie pogrążony. A jeśli powie prawdę, skompromituje dyrektora, a ten będzie się mścił. Musi się odważyć.

Żona zawsze mówiła, że jest tchórzem i dlatego tak mało zarabia. Gdyby umiał pokazać wszystkie swoje możliwości, wprowadzać innowacje do firmy, wówczas by awansował, a on się boi, by go nie zwolnili i siedzi cicho. „Teraz albo nigdy - pomyślał. – Oto chwila, którą trzeba umieć dostrzec! Zmienia się życie”.

Wypuścił powietrze jak silną falę i powiedział z mocą:

- Raport leży na pańskim biurku. - Słyszając milczenie po drugiej stronie słuchawki, nabrał ponownie powietrza i mówił szybko i pewnie. – Ustawowy termin odpowiedzi upłynął dwa tygodnie temu. Zgodnie z prawem mam obowiązek zawiadomić prezydenta miasta o niedopełnieniu obowiązków przez pana, gdyż opieszałość niesie zagrożenie życia dla mieszkańców miasta.

Sapanie nagle ustało.

- Co pan proponuje? – rzekł dyrektor głosem, w którym ukrywał się niepokój.
- Awaria musi być natychmiast usunięta.
- Ale ten wyłącznik się oderwie przy próbie odkręcenia i mamy powódź na ulicach i brak wody w budynkach – dyrektor sapał przerażony.
- Opisałem w raporcie pewien specyfik, nazwijmy to klejem. To mój wynalazek, umożliwi uszczelnienie luzów.

W słuchawce panowała cisza. „Przegrałem, pomyślał inżynier, jestem skończony. Żona mi nie przebaczy, palnę sobie w łeb”.

- Proszę przyjść do mojego biura i przynieść tej specyfik. Przygotuję dokumenty patentowe, żeby ochronić pańskie prawa wynalazcy, i umowę. Kupię od pana przepis. Cenę pan ustala, tylko, jak to się mówi, w granicach rozsądku. Chociaż pan dyktuje warunki, niech pan nie puści mnie z torbami. Proszę – dodał po długiej chwili, a to słowo nigdy nie przechodziło mu przez gardło w stosunku do nikogo, ale teraz bronił swoich pieniędzy i stanowiska. - Proszę – powtórzył, jakby się nauczył - niech pan przyniesie ze sobą specyfik. Musimy szybko zażegnać kłeskę.

Starszy strażnik wykonywał swój rytuał. Wezwał kolegów i przydzielił im zadania. Każdego uczynił odpowiedzialnym za inny odcinek pracy. Jednemu kazał udać się na pogotowie i kazać kierowcom, by zrobili szybki przegląd samochodów, aby wszystkie były sprawne. Te akurat działania leżały w

obowiązkach straży. Kazał mu również się skontaktować z garażami, dysponującymi częściami zamiennymi i polecić im przygotować cały zapas i wezwać wszystkich techników na dyżur.

Ponad jego głową, w ostrym słońcu krzyżowały się niewidzialne linie komunikacji jak ślady w powietrzu po gestach nowoczesnych kapłanów, wykonujących przygotowania do modlitw, które mogły odwrócić plagę zesłaną przez rozgniewanych bogów. Biegły słowa i zaklęcia, kończące każdą modlitwę: „niech się tak stanie”. I właściwie od tysięcy lat nic nie uległo zmianie oprócz środków komunikacji.

Przydzielił również pieczę nad strażą pożarną, nakazując kontrolę wozów, urządzeń do komunikacji oraz chemicznych środków gaśniczych. Zawiadomił ich o nagłym podwyższeniu norm określających niezbędne zapasy. Nakazał natychmiastowe ich uzupełnienie. We wszystkich komendach straży nastąpiła bieganina od magazynów do hurtowni i przenoszenie worków na wózki, a potem na samochody.

Kontrolerzy biegali, jakby odczuli na swoich karkach oddech kierownika i wrzeszczeli na wszystkich. Kazali rozwiązywać opakowania i sprawdzać, czy wewnątrz naprawdę się znajduje proszek gaszący ogień, wywołany środkami chemicznymi. Sprawdzali liczbę koców termicznych i kazali liczyć skrzynki z maścią odbudowującą spaloną tkankę i proszek do posypywania ran. Nagle okazało się, jak wiele jest niedoborów i kontrolerzy zaczęli kłać na wszystkich i wypisywać raporty karne. Stali w magazynach z elektronicznymi notesami w rękach, rozwścieczeni, że zagnano ich do pracy i postanowili dać każdemu w kość i nie odpuścić, póki wszystko nie zostanie uzupełnione i sprawdzone.

Takie sceny odbywały się we wszystkich obszarach służb miejskich. W szpitalach technicy siedzieli przy komputerach i sprawdzali wykonanie zamówień, przeglądali listy specyfików i kazali drukować szczegółowe dane. Kierownicy pędzili do magazynów leków zastrzeżonych, opartych na diabolikach, które powodują wstrząs, zastępujący masaż serca przy pomocy elektryczności, jaki stosowano kiedyś.

Lekarze odpowiedzialni za służbę pielęgniarek przeglądali grafiki dyżurów i kazali wzywać wszystkie rezerwy. Złościli się na bezsensowne ponaglanie przez straż miejską, bo jakiś stróż prawa, namolny facet, który nie rozumie specyfiki szpitali, wciąż się domagał bezsensownych kontroli, nakazując, by szpital dysponował wszelkimi lekarstwami, jakby miał nastąpić koniec świata, poprzedzony epidemiami i zarazą spływającą wprost z nieba. Stan irytacji i pośpiechu panował do chwili, kiedy przywieziono pierwszego pacjenta. Była to młoda dziewczyna, która dostała zapaści.

W szpitalu zapanowała cisza, jak na rozkaz przestały dzwonić telefony i cały personel mógł się skupić na wypełnianiu swoich obowiązków. Okazało się, jak bardzo się przydały rzadko stosowane lekarstwa, a technicy przy komputerach

po raz kolejny powtórzyli, że w razie awarii zawodzi człowiek, który nigdy nie jest przygotowany na nieszczęście.

Strażnik wiedział, że zrobił już wszystko, co do niego należało: wszystkie służby miejskie były postawione w stan najwyższego pogotowia. Był pewien, że żaden z jego kolegów nie zawiedzie. Zdawał sobie sprawę z tego, że bez całkowitej mobilizacji ludzi wszelkie akcje będą mało skuteczne, gdyż ogłupiały tłum, traktowany jako stado, będzie się przeciwstawiał wszelkim działaniom porządkowym i uniemożliwiał niesienie pomocy. A gdy się grupę podzieli na poszczególnych ludzi i przydzieli każdemu zadania, wtedy obudzi się w ludziach odpowiedzialność i odwaga i wykażą się inicjatywą. Skontaktował się więc z portalem wolontariatu. „Nazwijmy tę akcję Niebieska Wstążeczka” – powiedziała jego rozmówczyni.

Słońce szło powoli w górę, dopiero za godzinę miał się rozpocząć ruch miejski, a już było bardzo gorąco. Strażnik wciąż wykonywał telefony i sprawdzał wykonanie, aż wreszcie stało się to, co musiało się wydarzyć. Wiadomości zaczęły zewsząd napływać na biurko komendanta.

- Kto wywołał cały ten bajzel? – wrzeszczał. – Co się dzieje?

Darł się coraz głośniej i wzywał do siebie po kolei kierowników sekcji, którzy wbiegali do gabinetu, nawet go nie słuchając, gdyż bez przerwy odbierali komunikaty od różnych osób.

- Kto postawił na nogi wszystkie służby? Kto jest za to odpowiedzialny? I co się za tym kryje?

Wciąż jednak nadpływały wiadomości i komendant wykrztusił z siebie bezradną opinię – Tego już chyba nie da się zatrzymać.

Mimo że miał w swej gestii największą służbę w mieście, nie wiedział, co ma robić.

Czekał tylko na wezwanie od prezydenta miasta. Widział, jak stoi w jego gabinecie i powtarza się sytuacja sprzed kilkunastu godzin, kiedy to osobiście zrywał dystynkcje swojemu pracownikowi, który naraził się wyższym od siebie. Z pewnością prezydent nie będzie go szarpał ani też nie każe kopniakiem wyrzucić go za drzwi, reprezentował przecież wysoki poziom i dysponował boleśniejnymi metodami. Kompromitacja wobec całego miasta! Ogłoszenie w środkach masowego przekazu, na jakie straty naraził miasto nieodpowiedzialny komendant. Wielkie, czerwone tytuły w gazetach! Komentarze w telewizji! Coś na kształt zrozumienia pojawiło się w twardym mózgu komendanta, kiedy przypomniał sobie sposób potraktowania strażnika. Każdy ma władzę, przed którą drży, a ludzie mali mają do stracenia tylko swoją pracę i doznają wstydu wobec kolegów i rodziny, natomiast ci wyżej postawieni otrzymują tyle, ile im się z racji urzędu i zaszczytów należy. Jak wysoko jesteś postawiony, tak nisko upadasz.

Było jeszcze wcześniej i komendant miał przed sobą może dwie godziny życia. Słońce właśnie zajrzało przez okno i poczuł, jak bardzo jest gorąco, mimo

wczesnej godziny porannej. Parzyło go w kark i pocił się bardzo ponad sztywnym kołnierzykiem koszuli w służbowym kolorze. Chociaż liczył minuty do swej cywilnej śmierci i usiłował się skupić nad usprawiedliwieniem, poczuł, jak go parzy. Przesunął ręką po karku, skóra była rozpalona.

Wyciągnął ramię, aby pochwycić za sznurek i zasłonić okno białymi roletami. Szarpnął raz i drugi, ale rolety nadal leżały zwinięte pod karniszem, gdyż nigdy dotąd ich nie rozkładano. Pogiębiony i pogrążony musiał wydostać się ze studni swych czarnych myśli i unieść się z krzesła. Sznurek od rolety był oplątany na gwoździu. Kiedy próbował go rozwinąć, wypadł wraz z zardzewiałym gwoździem, a zwinięta roleta, rozsunięła się nieco i tylko z jednego boku, wisząc skośnie. Na pewno nie da się jej bardziej rozłożyć.

Zaprzagnął napić się wody, ale w karafce stojącej na biurku była tylko zaschnięta mucha, leżąca tam od zimy. Przeszedł więc do swej prywatnej łazienki, by napić się wody z kranu. Woda, owszem, poleciała po odkręceniu kranu, jednak na umywalce nie było plastikowego kubka. Zajrzał do szafki, gdzie zazwyczaj – co pamiętał dobrze - była cała rolka kubeczków, zapakowana ciasno w plastik. Na półce leżała tylko rozdarta folia po kubkach, których nie było. Powiedział sobie, że nie będzie pił z garści, gdyż to poniżej jego godności i zaraz wprowadzi odpowiednie porządki na swym posterunku, zagoni wszystkich do roboty.

Kiedy powrócił do gabinetu, usiłował włączyć klimatyzację, ale pokrętło zostało mu w ręce. Próbował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek miał wentylator biurkowy, taki wiatraczek, który się obraca i chłodzi? Słońce wbijało swe szpile w twarz, powietrze było gęste, rzucił się więc desperacko, by otworzyć okno, ale te okna się nie otwierały ze względów bezpieczeństwa, a szyby były kuloodporne.

Pokręcił głową, rozluźniając kołnierzyk swej koszuli w służbowym kolorze, który nagle zrobił się na ciasny i wyszedł do głównej sali, gdzie stało wiele biurek. Obok każdego stało krzesło, a na oparciu wisiały marynarki od służbowych mundurów z przewieszonym krawatem. Na każdym z krzeseł siedział strażnik w rozpiętej koszuli. Niemal każdy przecierał twarz mokrą chusteczką i wrzeszczał do swego komputera, na którym widział swój odcinek miasta.

Dopiero teraz komendant zrozumiał. Na ulicach ślaniali się ludzie. Karetki jeździły gęsto. Co kilka metrów stał saturator z wodą. Wszędzie uwijali się młodzi ludzie z niebieskimi wstążeczkami, niosąc torby pełne butelek z wodą, Rozdawali je idącym ludziom, którzy szybko odkręcali korki i unosili wodę do wysuszonych warg.

Chłopcy porozumiewali się ze sobą i szybko dążyli w to miejsce, gdzie byli ludzie, a tłumy przewalały się przez miasto. Rozpoczął się ranek. Właśnie wyszła kolejna partia z kolei podziemnej. Na każdym przystanku równomiernie idący tłum wydobywał się z tuneli. Niektórzy osłaniali twarze, inni trzymali rękę na piersi, by serce przestało kołatać. Matki wachlowały dzieci, mężczyźni

osłaniali od żaru swe żony. Słońce patrzyło z wysoka i nie interesowało się cierpieniami ludzi.

Czasami ludzie upadali. Nieomal natychmiast pojawiała się dziewczyna z niebieską wstążeczką i zawiadomiwszy pogotowie, unosiła głowę leżącemu i zwilżała mu twarz wodą. Często pomagał ten prosty środek. Czasami pomagała leżącemu usiąść i podawała wodę do picia, pilnując, by nie pił zbyt łapczywie. Człowiek pokrzepiony chłodną wodą i posilony dobrocią, znajdował w sobie siły, by wstać na nogi i powrócić do domu lub udać się do najbliższego punktu sanitarnego.

Na rogach ulic i na większych skrzyżowaniach stały białe wozy z czerwonym krzyżem. Tu przyjmowano osłabionych i aplikowano im natychmiast środki nasercowe i wzmacniające. Wciąż doprowadzano ślaniających się ludzi. Jednak nikt nie pozostawał bez pomocy.

Teraz do akcji wkroczyli sklepikarze i wielkie supermarkety, wynosząc pojemniki pełne lodu lub wręcz stawiając na chodnikach zamrażarki z otworzonymi drzwiczkami. Ludzie korzystali z tej wygodnej formy ochłody, zaczerpując garściami lód i przykładając je na rozpalone twarze. Kobiety pocierały kostkami lodu dekolty.

Restauratorzy wystawiali stoliki na trotuary i rozpinali ponad nimi parasole. Na każdym stole stały butelki z wodą. Niektórzy stawiali miseczki na pieniądze, inni nie dawali żadnych aluzji, ale ludzie wiedzieli, jak mają się zachować. Przysiadali, by odpocząć, ochładzali się wodą. Czasami zostawiali drobne, a czasami mówili „Jakie to miłe miejsce, przyjdziemy tu na obiad”.

Kiedy było blisko południa, wybuchł pierwszy pożar. Zapaliły się race w fabryce fajerwerków. Jednak nie było tam ludzi, gdyż tego dnia nie pracowali. Takie wymogi bezpieczeństwa wymusiła na nich straż. Czerwone samochody przybyły prawie natychmiast, ale tylko po to, by dokończyć gaszenia. Służby fabryczne od razu wiedziały, co mają robić.

„To mi się chyba śni” – powiedział do siebie komendant. Musiał jednak podejść do drzwi, by wpuścić chłopców z butelkami, gdyż jego personel był zbyt zajęty. Potem sam stawiał wodę na każdym biurku. Stał skromnie z boku, zastanawiając się, do czego mógłby być przydatny, gdyż przecież i on miał w sobie pokłady człowieczeństwa. Słońce patrzyło z wysoka, testując ludzi i być może ktoś zrozumiał, do czego przydatny jest kryzys.

Wolontariusze znaleźli go nad ranem, kiedy twarz mu tak spuchła, że niczego nie widział. Pochylili się nad nim, leżał na brzuchu, z głową na czarnym worku od śmieci.

- Cuchnie - powiedziała dziewczyna, która kończyła już szkołę średnią i musiała zaliczyć staż w Ośrodku Pomocy, aby się dostać na socjologię.

Chłopak, który jej towarzyszył, był w gorszej sytuacji: szukał pracy. Musiał harować jako wolontariusz, czyli za darmo, w nadziei, że wyrobi sobie kontakty i znajomości, by móc wśliznąć się w dziurę, kiedy taka tylko nastąpi. Nie

odczuwali współczucia dla pokrzywdzonych przez los, ale musieli pracować porządnie, szczególnie chłopak, no i z dozą profesjonalizmu.

- Trzeba sprawdzić, czy nie jest ranny.
- Lepiej go nie ruszać - orzekła dziewczyna. – Może mieć uszkodzony kręgosłup. Jeśli uniesiemy jego głowę, skręcimy mu kark.

Obszukali go, w kieszeniach nie miał żadnych dokumentów oprócz pogniecionej kartki papieru z zamazaną pieczętą.

Dopiero pochyliwszy się, zauważyli, że z jego ust wypłynęła krew i zakrzepła na czarnym worku. Chłopiec dotknął szyi leżącego. Dziewczyna patrzyła z podziwem na jego profesjonalne zachowanie, a chłopak to doskonale widział i bardzo mu zależało, aby się przed nią popisać, ale w ogóle nie wiedział, co ma robić ani jak się zachować. „Co mówiła główny psycholog?” – usiłował sobie przypomnieć.

- Uważam, że możemy podjąć akcję - rzekł, udając spokój.
- Ale jaką akcję?

Naprawdę nie wiedział, co odpowiedzieć. Jeżeli poruszą go, a on naprawdę ma uszkodzony kręgosłup, facet będzie miał w dokumentach exitus. Jeżeli obróci go na plecy, może się zadławić własnymi wymiocinami, więc i ta znakomita forma działania i zaimponowanie dziewczynie, może się obrócić w kompromitację. Można oczywiście wezwać samochód z Ośrodka, ale jeżeli w trakcie oczekiwania facet wstanie się i odejdzie, kompromitacja zostanie pomnożona przez samą siebie.

- Powiedz mi, czy żyje? – dopytywała się dziewczyna.
- Sprawdź sama - zaproponował. – Musisz zyskać praktykę.

Dziewczyna zaczęła się wdrapywać na leżące worki, usiłując się chwytać czegokolwiek, a chłopak pomyślał, że nie będzie mu wdzięczna za ten pomysł.

Zamroczony od wściekłości umysł leżącego odbierał informacje, jedyne, jakie były możliwe dla tego typu mózgow. Przebił się do warstw energii, leżących tuż ponad Ziemią i owijających ją ciemnymi warstwami niby czad, unoszący się z zepsutego piecyka. Były jak czarna bibuła i owijały glob dokładnie ze wszystkich stron. Widział pochyloną sylwetkę człowieka, który niesie w walizce bombę i potem zostawia ją w wysokim i gęstym od ludzi budynku. Ten obraz bardzo go ucieszył.

Ale następny przyniósł mu jeszcze więcej satysfakcji. Człowiek szedł długim i ciemnym tunelem wzdłuż połyskujących szyn. Co chwila musiał odsuwać się i przyciskać plecami do ściany, gdyż mijały go w pędzie pociągi, wypakowane ludźmi. Przez okna udało mu się również dostrzec wielu młodych ludzi, kobiet i dzieci. Jeżeli swoją torbę, przypominającą wyposażenie montera, zostawi na skrzyżowaniu torów tuż obok rozwidlenia tuneli, być może uda mu się wysadzić nawet trzy pociągi.

Chciałby odczytywać zapisane scenariusze wydarzeń jeszcze znacznie dłużej, jednak ich energia była stosunkowo ulotna i szczególnie od góry rozpraszała się i unosiła, przechodząc w te zakresy, gdzie mogła zostać

odczytana i przetworzona przez tych, którzy zapisują długoterminowe sekwencje wydarzeń, które mają się wydarzyć. Strażnik otworzył oko i zobaczył jakąś rękę, która chciała go pochwycić za szyję. Uniósł ramię, chwycił tę rękę i ścisnął z całej siły. Dziewczyna krzyknęła i szarpnęła się, worki spadły, leżący się z nich zsunął na ziemię, lecz nie zluźnił chwytu.

- Atak na funkcjonariusza! – wrzasnął chłopak przez telefon i usiłował pomóc dziewczynie, ale nie był ani szlachetny, ani odważny. Niemrawo próbował rozluźnić palce zaciśnięte na przegubie.

Był już znowu wieczór i stara kobieta siedziała w barze, jedząc zwyczajne potrawy, jakie spożywali ludzie mieszkający na tej planecie. Wzięła sobie gazetę ze stolika i przeglądała wydarzenia z całego dnia. „Pracownicy Służb Miejskich obezwładnili niebezpiecznego psychopatę, który się podawał za strażnika. Zaatakował dwoje pracowników Opieki Społecznej. Kobietę ze złamanym nadgarstkiem odwieziono do pogotowia, mężczyznę w stanie szoku, odesłano do domu po udzieleniu pomocy. Psychopata zdemolował ambulatorium i wybiwszy okno, uciekł. Był to niebezpieczny maniak na tle religijnym, gdyż wykrzykiwał frazesy o Sądzie Ostatecznym i o przetrzebieniu ludzi, które się właśnie dokonuje.

Z ostatniej chwili. Strajk na kolei. Dzisiaj w nocy przestają kursować pociągi. – Przeczytawszy ten komunikat, stara kobieta zaczęła się głośno śmiać. Widziała tunel, leżącą torbę montera i ekipę robotników torowych, którzy korzystając ze strajku, szli bezpiecznie i spokojnie i przeglądali spojenia szyn. – Co to jest? – zapytał jeden z nich. – Lepiej nie dotykaj, sprawdźmy.

Wyglup nastolatka. Osiemnastolatek zawiadomił policję o podłożonej bombie. Ekipa nie znalazła ładunków wybuchowych, Chłopakowi grozi trzy lata. Będzie musiał zapłacić za koszty operacji.

- Nawet nie potrafia zapamiętać adresu - burknęła stara kobieta. – Mówiła, że wszystko się gmatwa.

Zobaczyła nagle, że wał się domy i przygniatają ludzi. Wybuchł wulkan i lawa zmiotła miasta. Zapadła się kopalnia i lawa błota zalała całą prowincję. Wszędzie potrzebowano ekspertów od identyfikacji zwłok, specjalistów od określania DNA, identyfikowania szczątków ludzkich, które leżały zawinięte w czarne worki, dziwnie niewielkie, zawierające tylko drobne fragmenty ludzi, a potem nawet i te kawałki zmniejszano, przenoszono do małych plastikowych woreczków, aż wreszcie na szkiełka próbek laboratoryjnych z dużym niewidocznym numerem, który pod mikroskopem skaningowym nareszcie zamieniał się w imię i nazwisko istoty ludzkiej, kiedyś je noszącej.

- Dobrze, zgadzam się – powiedziała. – Możecie mnie tam przenieść, ale wpięrw chcę polatać. Taka była umowa. – Opuściła głowę na stół i jej

ciało znieruchomiło, aby się już nigdy nie poruszyć. Ludzie wokoło patrzyli, a potem ktoś wezwał biały samochód.

Wiedziała, że wystarczy niewielki wysiłek, drobne napięcie wszystkich mięśni i uniesie się ponad podłogą i wyleci przez drzwi i ponad ulicę. Czuła się szczęśliwa, wolna od troski o ten świat. Unosiła się ponad ulicami, tuż ponad powierzchnią jezdni. Nie chciała latać ponad miastem, lecz być blisko ziemi i ludzi, aby sobie ich teraz pooglądać jako wolna istota, bez obciążeń wcielenia. Zaglądała do okien i przez szklane drzwi sklepów, pewna, że nikt jej nie wygoni i nie obrazi. Nareszcie czuła się dobrze. I ciało, i świat przestały przynosić jej cierpienie.

Trwało to czas pewien. Wiedziała jednak, że musi ulec swemu poczuciu obowiązku. Poza tym dała przecież słowo, że zgadza się na przedłużenie czasu pobytu na tej ziemi. Odbierała tu – jak chcesz, to nazwij - praktykę, pracę czy okres próby. Odbierała transfery, wyjawiała ludziom przeznaczenie, ratowała świat, jak tylko umiała. Wiedziała, że nie może ingerować zbyt energicznie i nikogo jej nie przyślą do pomocy.

A kiedy latając, nacieszyła się już życiem i swobodą, zaczęła wybierać odpowiednie wcielenie. Zachowała swoją świadomość, oczywiście. Taka była różnica pomiędzy urodzeniem a wcieleniem.

Kierowca wiozł starszego strażnika z Ratusza, gdzie odbywała się wielka uroczystość. Zebrali się tam wszyscy, których ocalił od śmierci w upale. Dopiero kiedy słońce zaszło, a nawet jeszcze później, kiedy zrobiło się nieco chłodniej i było czym oddychać, zaczęli szacować zyski i szukać tego, który wszystko rozpoczął, doznając iluminacji i wypełniając rytuał. Kiedy wspiał się na stopnie i stanął przez dostojnikami, a najważniejszy z nich przypiął mu medal z brylantów, dar jubilera, zza tłumu wyskoczył jego były partner, bez munduru, oczywiście, z opuchniętą i pokrwawioną twarzą i rzucił się na niego z nożem. Ostrze ześliznęło się po medalu z najtwardszego metalu i z brylantów, nie czyniąc żadnej szkody. Szaleńca obezwładniono. Resztę życia spędzi na dnie.

- Moja babcia się zmieniała – powiedział kierowca do starszego strażnika, gdy wracali z Ratusza po uroczystości. – To bardzo dziwne. Zaczęła mówić rzeczy zastanawiające. Czasami jednak zachowuje się zwyczajnie i jest tą samą babcią, która zajmuje się gospodarstwem. Ale nagle, jakby naszła fala na jej umysł, mówi o trudach wcielenia i wspomina obowiązek wobec świata. Wygląda to tak, jakby nakładały się na nią dwie osobowości i jedna zamazywała drugą. Przepowiada przyszłe wydarzenia. Mówiła o wielkich sprawach, a z takich mniejszych, codziennych, obwieściła, że będę cię wiozł z Ratusza i ty wszystko rozumiesz i rozpoznasz ja od razu, więc nie masz się martwić. Powiedziała, że musisz jej pomóc, bo inaczej będzie musiała pełnić rolę tej, która odcina przędzę – kierowca przerwał na chwilę swoje opowiadanie, a potem zapytał:
 - Czy ty to rozumiesz?

- Tak – powiedział wstrząśnięty strażnik. – Jaka jest jej główna przepowiednia?
- Powiedziała, że Sąd Ostateczny już się dawno zaczął.
- I potrwa – dopowiedział strażnik.